



Rozmawiałam już i z muzykami, i z nauczycielami, i z aktorami, a tym razem... Tym razem spotkałam się z kimś, kto nie oddziałuje na odbiorcę werbalnie, ale za pomocą literek. Mam nadzieję, że z zainteresowaniem przeczytacie pierwszą część wywiadu z lubelskim pisarzem, autorem retro kryminałów o komisarzu Maciejewskim - Marcinem Wrońskim.

W latach 90. Był Pan związany z nurtem trzeciego obiegu. Na początek proszę Pana o kilka słów na ten temat, ponieważ dzisiejsza młodzież nie do końca zdaje sobie sprawę z tego, że istniało takie zjawisko i jaki miało cel.

Sama idea była bardzo prosta. W czasach cenzury, PRL-u, istniały pierwszy obieg oficjalny i drugi obieg książki nielegalnej, wydawanej przez podziemne wydawnictwa związane z opozycją. Pierwszy był zafalszowany, bo: po pierwsze, nie dopuszczał zakazanych treści i zakazanych autorów, głównie emigracyjnych, a po drugie, dopuszczał tylko jedną interpretację wydarzeń - potrafił nawet przedstawiać sowiecką napaść na Polskę 17 września 1939 jako wyraz miłości narodów radzieckich do polskiego. Natomiast drugi obieg był pomyślany jako przestrzeń na odkłamywanie treści oficjalnych i siłą rzeczy był zideologizowany. Wychodziły w nim książki autorów zakazanych, którzy nie mogli publikować oficjalnie, czy też autorów niezakazanych, ale których nie wszystkie teksty mogły się ukazywać. W drugim obiegu po raz pierwszy w Polsce komunistycznej mogliśmy przeczytać wiersze Łobodowskiego- przywołuję akurat ten przykład, bo to nasz lubelski poeta. Natomiast trzeci obieg to było coś robionego przez młodych ludzi - licealistów oraz studentów. Miał on szereg oblicz; były to fanziny - jakieś odbijane na ksero gazetki, ale też pisma literackie, na ogół kompletnie niezainteresowane polityką. One walczyły z systemem nie swoimi tekstami, ale przez sam fakt, że powstawały, że wychodziły poza cenzurą. Był również pewien sposób legalnego ominięcia cenzury, z czego sam korzystałem, bo wydawałem małe, nieliczące się pisemko. Otóż wszystko, co wychodziło w

nakładzie mniejszym niż sto egzemplarzy, nie wymagało przedstawienia cenzurze, bo istniało na prawach rękopisu. Pisało się więc gdzieś na okładce takiego pisma: „nakład dziewięćdziesiąt dziewięć egzemplarzy”. W ten sposób pismo było chronione. Oczywiście, w przypadku wielu pism, które wychodziły w znacznie większym nakładzie, bo były dobre, na przykład „Lampa i Iskra Boża”, krakowski „BruLion”, lubelska „Mała Ulicznica”, nie można było udawać, że liczba egzemplarzy jest mniejsza niż sto, więc nie pisało się takich bzdur. Oprócz pism wychodziły również trzeciobiegowe książki, często robione tak naprawdę w domu; były to jakieś poskładane odbitki ksero - coś, co prawdziwej książki zupełnie nie przypominało. Istotne jest to, że trzeci obieg ma swoją kontynuację- chociażby „Lampa” jest kontynuacją „Lampy i Iskry Bożej”. Zatem trzeci obieg istnieje do dziś, tylko stał się oficjalny- ma numery ISSN i ISBN. Oto cała zagadka. Właściwie większość pisarzy mojego pokolenia, czyli ci urodzeni w latach siedemdziesiątych, o ten trzeci obieg otarła się.

Osoby, które uważnie śledzą Pana poczynania, wiedzą, że zajmował się Pan wieloma rzeczami. Był Pan felietonistą, dziennikarzem radiowym, a nawet nauczycielem. Redagował i pisał Pan książeczki dla dzieci, wkrótce będzie Pan uczestniczył w festiwalu w Pile jako trener szkoły pisania. Nie czuł bądź nie czuje się Pan przytłoczony taką ilością różnorodnych zajęć?

No cóż... Ja się tymi rzeczami nie zajmowałem naraz, tylko po kolei. Wtedy, kiedy współpracowałem z nieistniejącym Radiem TOP, nie byłem nauczycielem, gdy byłem nauczycielem, nie byłem redaktorem i tak dalej. To wszystko działało się po kolei, więc mnie nie przytłaczało. Natomiast od bardzo dawna, czyli od jakiejś drugiej klasy liceum, wiedziałem, że chcę pisać, że najchętniej utrzymywałbym się z pisarstwa, a w ogóle chciałbym swoje zawodowe plany wiązać z pracą nad książką. Właśnie stąd to ciągłe dążenie najpierw do zostania polonistą, potem redaktorem, pracy w wydawnictwie, aż w końcu udało mi się zrealizować to, o czym marzyłem, czyli żyć z pisania. Natomiast warsztaty, spotkania autorskie i wykłady z literatury oraz kryminału są rzeczami towarzyszącymi mojej pracy, bo przecież bycie pisarzem, to nie tylko pisanie książek, ale też szereg działań promocyjnych- pokazywanie się, udzielanie wywiadów. To, co tutaj robimy w tej chwili, też jest częścią mojej pracy, ponieważ dzięki Pani tekstowi być może dowie się o mnie ktoś, kto o mnie nie słyszał, być może kupi książkę. Z kolei uczenie kreatywnego pisania, to jest coś, co bardzo lubię, dlatego że naprawdę lubiłem być nauczycielem. Nie była to dla mnie jakaś wielka katorga. To znaczy... Jasne, nie cierpiałem szkoły pod żadną postacią- ani jako uczeń, ani jako nauczyciel. Natomiast samo uczenie lubiłem i lubię nadal, sprawia mi to wielką przyjemność.

Prowadził Pan kabaret „Osoby o Nieustalonej Tożsamości”. Jak Pan wspomina tamten czas? Istnienie kabaretu miało coś konkretnego na celu, czy raczej była to przygoda, która miała urozmaicić Panu czas?

Przygoda literacka. Ten kabaret powstał po to, żeby premierowe spotkanie autorskie z okazji ukazania się mojej pierwszej powieści - „Obsesyjnego motywu babiego lata”, było inne i zapadło czytelnikom w pamięć. Nie chciałem, żeby wyglądało to tak, że przychodzi autor, coś mówi i wszyscy zadają pytania. Wraz z moimi przyjaciółmi stwierdziliśmy, że można połączyć to z przedstawieniem kabaretowym, do którego ja napiszę teksty. Taki był początek. Później pomyśleliśmy, że można to niezależnie ciągnąć. Kabaret był oparty głównie na moich tekstach, chociaż nie wyłącznie. Ja go prowadziłem, ale duchem stwórczym, który podrzucał pomysły i bez którego ten kabaret by nie powstał, był Jarosław Gawlik, przez wiele lat mieszkający w Lublinie. Same przedstawienia były formą dobrej zabawy. Pojawiały się myśli, żeby pojechać na jakiś festiwal, byliśmy zresztą na Famie, ale potem jakoś się to wszystko rozeszło. Ja kończyłem studia, moi przyjaciele również i trzeba było zająć się innymi sprawami.

Sądzi Pan, że teraz, gdy półki w księgarniach uginają się od różnorodnych publikacji, młodym pisarzom jest trudniej napisać coś, co przykuje uwagę czytelników i krytyków?

Myślę, że jest łatwiej. O tyle łatwiej, że możliwości pokazania się są nieporównywalnie większe niż w czasach, gdy na przykład internet nie był tak rozpowszechniony. Jest cała masa pism na różnym poziomie, wychodzących w sieci i znacznie łatwiej jest pokazać się właśnie w takim piśmie niż w papierowym, a niektóre z nich mają naprawdę bardzo dobrą renomę. Jest też więcej wydawnictw i mam wrażenie, że część z nich jest zwyczajnie zbyt biedna, aby wydawać autorów uznanych, więc chętnie wydają debiutantów. Oczywiście, ten debiutant musi najpierw napisać dobrą książkę, to pewne, ale możliwości jest naprawdę sporo. Natomiast co do tego, że jest wiele książek - no cóż, zawsze było. Zawsze było więcej książek, niż człowiek był w stanie przeczytać, może pomijając czasy antyku. W związku z tym zawsze było tak samo łatwo i tak samo trudno pod względem znalezienia pomysłu, znalezienia tematyki, w której najlepiej się czujemy.

Uważa Pan, że w dzisiejszych czasach, kiedy Internet, jak sam Pan wspominał, jest ogólnodostępny, książki powoli tracą na znaczeniu?

Nie. W żadnym wypadku. Uważam, że jest wręcz przeciwnie. Internet to świetny sposób na promocję książki i to działa. Dzisiaj wiele osób dowiaduje się o książce właśnie z Internetu, z blogów czytelniczych, z Facebooka i innych portali społecznościowych. Także wydawcy spoglądają na Internet zupełnie inaczej niż jakiś czas temu. Autorzy dobrych blogów czytelniczych są traktowani na równi z poważnymi krytykami literackimi, publikującymi recenzje w tygodnikach czy miesięcznikach - zresztą tych recenzji na papierze jest coraz mniej. Cała sfera życia literackiego, głównie jeśli chodzi o recenzje, przeniosła się do Internetu, także to medium nie tylko nie zabija książki, ale ją wspiera. W księgarniach stacjonarnych wielu książek być nie może, bo nie starcza miejsca na półkach, więc z Internetu dowiadujemy się o istnieniu jakiegoś tytułu, który być może by nas zainteresował, czytamy fragment i wiemy, czy go chcemy, czy nie. To jest medium, w które głęboko wierzę. Natomiast idea przeniesienia samej literatury do Internetu, to już troszeczkę inna sprawa. To się być może kiedyś stanie, bo chociaż mamy e-booki, które są pewnego rodzaju książkami w internecie, bo je ściągamy, jako takich internetowych książek jeszcze nie ma - poza mało istotnymi eksperymentami. To trochę inne zagadnienie. Niemniej, e- booki wciąż nie są tak wygodne jak książki papierowe

Uważa Pan, że młodzi ludzie, którzy chcą zostać pisarzami, powinni chodzić do skutku od wydawnictwa do wydawnictwa, czy raczej oddać książkę krytykowi i jeśli on stwierdzi, że jest do niczego, po prostu się poddać?

Chodzić do skutku, ale zanim zacznie się chodzić do skutku, nauczyć się. Jest wiele możliwości uczenia się pisarstwa w szkołach kreatywnego pisania. Jakkolwiek sam jestem trenerem, któremu zdarza się prowadzić warsztaty literackie, nie do końca byłem do tej idei przekonany. No cóż... Zawsze mogłem się podzielić swoim doświadczeniem, ale nie byłem pewny, czy to działa, czy to naprawdę jest tak, że jeśli ja przekażę doświadczenie, które zdobyłem w ciągu iluś lat, to u kogoś innego ta sama wiedza zaprocentuje w sposób lawinowy. W roli trenera chodzi przecież o to, żeby ktoś inny miał szansę na swój sukces znacznie szybciej, o ile chce pracować i nabierać doświadczenia. To rzeczywiście działa. Bardzo doradzałbym takim osobom pójść na kurs kreatywnego pisania. One na ogół nie są tanie, ale biorąc pod uwagę, że za kilkaset złotych można kupić kilkanaście lat czyjegoś doświadczenia, to chyba nie jest drogo. Taki kurs bardzo się przydaje, chociaż oczywiście trzeba się najpierw dobrze zastanowić, u jakiego trenera się uczyć i czego dokładnie. Jest sporo takich możliwości i z nich korzystać.

Co jest dla Pana najważniejsze w tym, co Pan robi? Chce Pan coś konkretnego przekazać czytelnikowi przez swoje publikacje?

Nie. Tak jak powiedziałem, jestem rzemieślnikiem, ponieważ zajmuję się literaturą popularną. Moim celem, gdy myślałem o tym, żeby zostać pisarzem, nie było przekazanie czegoś konkretnego. Moim celem było wykonywanie tego zawodu, bo lubię tę robotę i z tego żyć. Co będę pisać, to jest sprawa istotna tylko o tyle, że pewne tematy w literaturze nie interesują mnie w ogóle, więc trudno, żebym się tym zajmował. Jednakże gdy wiem, że coś będzie mi niezbędne do napisania kolejnej powieści, zaczynam się tym autentycznie interesować, mimo że wcześniej miałem co innego w głowie. Tak było na przykład z samolotami i polskim przemysłem lotniczym potrzebnym mi do skonstruowania „Skrzydlatej trumny”, czwartej powieści o komisarzu Maciejewskim. Później skończyłem powieść i samoloty odstawiłem. Natomiast rozpoczynając cykl, chciałem znaleźć jakiś sposób na połączenie komercji i tego, co interesuje mnie naprawdę, dlatego połączyłem kryminał z historią mojego miasta. Nie byłem oczywiście pierwszy, bo przecież przed Maciejewskim kryminały retro powstawały - chociażby Marek Krajewski był już znanym pisarzem, i słusznie uważanym za wybitnego. Dlaczego jednak rzemieślnik literacki nie miałby korzystać z dobrych wzorów?